

ZŁOTE GODZINY

IWONA KLIMCZAK

ROZDZIAŁ I

Nie powinno się umierać w piękny dzień i nie powinno się nikogo grzebać w taką wspaniałą pogodę – myślała Alicja niemal obsesyjnie, stojąc w zimnej kaplicy cmentarnej przy trumnie swojego męża. Leżał tam całkiem martwy, a do niej wciąż nie docierało, że nie zobaczy go już na tym świecie, nie odezwie się do niej, nie zjedzą razem obiadu ani się nie pokłócą. Koniec. Pustka. A ona nie mogła przestać myśleć o tej przeklętej pogodzie.

Boże Narodzenie, ich ostatnie święta, było szare i przygnębiające, dopiero w styczniu spadł piękny śnieg i chwycił ostry mróz. Teraz zrobiło się nieco cieplej, ale wciąż świeciło słońce, sprawiając, że wokół robiło się coraz ładniej. Była pewna, że taka śnieżna zima już zawsze kojarzyć jej się będzie ze śmiercią.

Stojąc nad grobem, powinna przecież płakać, rozpaczać, powinna czuć całą sobą tę stratę, a ona myślała tylko o tym pięknym świecie. Chłopcy na szczęście zajęli się wszystkim, więc od dnia, w którym się dowiedziała, mogła trwać w takim odrętwieniu i niemocy. Ona, której trudno było cokolwiek narzucić, która zawsze rządziła wszystkim wokół, jeśli tylko uznała, że tak należy, teraz dawała sobą kierować i słuchała swoich dzieci. Wojtek przyjechał niemal od razu, gdy tylko zadzwoniła, że ojciec nie żyje. Nawet miał pretensje, że nie powiadomiła go natychmiast, tylko czekała do rana,

ale co by jej dało, gdyby to zrobiła? Marek i tak był martwy, a Wojtek chciałby może przyjechać jeszcze tego samego dnia. Po nocy.

Maciek był w niedzielę wieczorem. Z Oslo jest jednak kawałek dalej niż z Warszawy, więc i tak szybko się zebrał, bo musiał przekazać komuś w weekend swoje sprawy. Klientów, którym stawiał osiedla mieszkaniowe, nie obchodziło przecież, że budowlancowi umarł ojciec. „Life is brutal” – to było jedno z ulubionych powiedzeń Marka. Męża, którego już nie miała.

Agą z Judytką i Oliwią przyjechały dopiero w dzień pogrzebu, choć Alicja nie była pewna, czy zabranie czteroletniej dziewczynki na pogrzeb dziadka to na pewno dobre rozwiązanie. W dodatku z Norwegii, ale jak zwykle Agnieszka wiedziała wszystko najlepiej.

Gdy Grzesiek zadzwonił, że był wypadek i Marka zabrali do szpitala, nie przypuszczała, że już nie żył. Spytała tylko, dokąd go zawieźli. Właściwie nawet nie przyszło jej do głowy, że mogło się stać to najgorsze. Do dziś nie wiedziała, czy Grzesiek powiedział tak, żeby nie wpadła w jakąś histerię, czy również nie był tego świadomy. Dopiero na miejscu ją poinformowano. W sumie mógł się wysilić trochę bardziej ten Grzesiek. Znali się od prawie czterdziestu lat i wiedział, że jest tu sama. Zamiast dzwonić, mógł wsiąść do tej swojej nowej, wypasionej terenówki i przyjechać. A on – telefon. Możliwe jednak, że był już po paru głębszych. Jak to przy piątku, po robocie. Kolejne z ulubionych powiedzeń Marka.

Na pogrzeb przyszło dużo ludzi. Naprawdę dużo. Niektórzy, bo chcieli, inni, bo nie wypadałoby nie przyjść. Przyjechała jej siostra i obaj jego bracia. Byli niemal w komplecie koledzy z pracy, pojawił się ktoś ze szkoły, w której pracowała Alicja, było kilku sąsiadów i wiele osób, których nie знаła. Przyglądała się im, stojąc nad grobem i czekając, aż trumnę z ciałem Marka Olszewskiego przysypią ziemią.

Jej uwagę przykuła jakaś obca kobieta. Elegancko ubrana, w jakieś świetliste żółcie i ciepłe brązy, zupełnie nieodpowiednie

na pogrzeb, wyjątkowo ładna i bardzo zapłakana, była chyba jedną z niewielu osób, które okazywały uczucia. Alicja pomyślała, że ludzie nie płaczą już nawet na pogrzebach. Zanotowała sobie w głowie, by spytać Grzeška, kim ona jest. Była niemal pewna, że nigdy jej nie spotkała, możliwe więc, że to ktoś, z kim Marek robił interesy. Tylko dlaczego płakała?

Choć synowie zajmowali się wszystkim i podejmowali za nią decyzje, zaprotestowała, gdy chcieli urządzić stypę; bardzo chciała tego uniknąć. Tyle że niemal cała rodzina mieszkała poza Łodzią, więc Maciek się uparł, a Wojtek zaraz go poparł. Zgodni jak nigdy. Wynajęli jakąś knajpę w pobliżu i zorganizowali obiad. Wymogła tylko na dzieciach, by zaprosić wyłącznie najbliższą rodzinę. No i Grzeška. On zawsze i wszędzie był z Markiem, więc jemu także stypa się należała. Zebrało się i tak blisko dwadzieścia osób. Alicja westchnęła. Jeszcze kilka godzin tej męki, a później...

No właśnie. Co później?

Nad tym się jeszcze nie zastanawiała. Liczyła tylko, że jak się skończy ten pogrzeb i stypa i jak wszyscy ci ludzie sobie pójda, to będzie już spokój.

– Wojtek, co się właściwie stało? – spytał tubalnym głosem Bogdan, starszy brat Marka.

Wojtek spojrzął na siedzącego obok Maćka, jakby było coś niezwykłego w tym, że wujek pyta jego zamiast starszego brata.

– Tata jechał samochodem. Źle się poczuł, ale zdołał jeszcze zjechać na pobocze – odpowiedział, patrząc tym razem na matkę, pewnie by potwierdzić, że niczego nie pokręcił.

– Zadzwonili z pogotowia do wujka Grzeška – dodał Maciek. Obaj bracia mówili do Grzegorza „wujku”, mimo że nie był z nimi spokrewniony.

– Rozmawialiśmy chwilę wcześniej i ratownicy wybrali ostatni numer z jego komórki. Marek powiedział, że coś mu niedobrze, że

zjedzie na chwilę i później zadzwoni – uzupełnił siedzący przy ścianie przyjaciel Olszewskich, który poczuł się widać wywołany do odpowiedzi. On też spoglądał na Alicję. Miała nieodparte wrażenie, że w oczach, oprócz smutku, miał coś jeszcze. Niepokój.

– Zdażył wezwać pomoc? – ciągnął Bogdan.

– Nie – odpowiedział Grzegorz. – Ktoś się zatrzymał sprawdzić, co się stało, bo niemal zjechał do rowu. Ci ludzie mówili, że jeszcze żył, jak przyjechało pogotowie.

Znów spojrzął na Alicję. Przeczesał ręką mocno przerzedzone włosy. Pamiętała, że robił tak, gdy się denerwował. Słuchała tego wszystkiego, jakby mówili o kimś obcym, nie o człowieku, którego znała ponad czterdzieści lat, z czego trzydzieści pięć byli małżeństwem.

– Mój Boże, taki zdrowy człowiek i nagle zawał – powiedziała jak zwykle niezbyt mądrze jej siostra. To dzięki niej Alicja poznała Marka, z którym Dorota chodziła do tej samej szkoły średniej.

– Co zrobić, lata lecą – westchnął ciężko Janusz, drugi z braci jej męża.

Pewnie mówił z własnego doświadczenia, bo zbliżał się do siedemdziesiątki i było to widać coraz bardziej, zwłaszcza w ostatnich latach.

– Sześćdziesiąt cztery lata to trochę za mało, żeby umierać. Nie sądzicie? – spytała Alicja. – Ktoś chce kawy? Proszę się częstować.

Nie czekając na reakcję rozmówców, wstała i podeszła do stojącego w rogu ekspresu. Wpatrywała się w maszynę, gdy ta mieliła ziarna, a później wypluwała ciemny płyn do filiżanki. Dopiero gdy wszystko ucichło, Alicja wróciła powoli na swoje miejsce z napojem, na który właściwie nie miała zbytnej ochoty, ale był to najprostszy sposób, żeby uciec od tej przygnębiającej rozmowy i chociaż przez moment czymś się zająć.

- Co teraz zamierzasz? - spytała Dorota.

Alicja popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

- Jak to, co zamierzam?

- Chodzi mi o to, jakie masz plany na później, na przyszłość? Zostaniesz tu całkiem sama - powiedziała. - Chłopcy daleko, my też... Chyba że przeniesiesz się do któregoś...

Zamilkła. Dorota wciąż o jej synach mówiła „chłopcy”, mimo że obaj od dawna byli wyżsi od niej co najmniej o głowę. U Alicji zawsze wywoływało to uśmiech, ale tym razem nawet nie zwróciła na to uwagi, bo poczuła złość, gdy uświadomiła sobie, co chciała wyrazić siostra.

- Dlaczego miałabym się przenosić do któregoś z moich synów? Nie rozumiem - spytała nieco zaczepnie.

- Bo wiesz, samej to trudno na świecie...

- Naprawdę? - Alicja szybko weszła jej w słowo i okrasiała wypowiedź krzywym uśmiechem. - Jakoś dajesz radę.

Dorota nigdy nie wyszła za męża. Po latach związku z żonatym facetem została sama. To był odwieczny temat ich rozmów. Za każdym razem, gdy się widziały, Alicja próbowała wybić jej z głowy związek z mężczyzną, który nigdy, przenigdy nie zostawi dla niej żony. I nie zostawił. Opuścił za to Dorotę. Od tego czasu nie związała się z nikim i była zupełnie sama w miejscu, do którego przeprowadziła się z jego powodu. Alicja tłumaczyła siostrze wiele razy, że skoro już przeszła na emeryturę, to mogłaby wrócić do ich rodzinnego miasta, ale ona wciąż znajdowała nowe wymówki i, zdaniem Alicji, nie była zdolna do podjęcia decyzji o tak radykalnej zmianie. Żyła więc z dnia na dzień w swojej kawalerce w bydgoskim blokowisku i coraz bardziej dziwaczała.

- Przyzwyczyłam się, ale co to za życie? - Dorota machnęła ręką, robiąc dramatyczną minę, którą przybierała często, niezależnie od wagi problemu.

- To może wreszcie mnie posłuchasz i wrócisz do Łodzi. Mieszkanie można sprzedać, zamienić, tu łatwo coś znajdziesz. I nie będziesz sama - powiedziała dość ostro Alicja.

- No tak, może masz rację - przyznała zgodnie jej starsza siostra.

Tak kończyły się ich rozmowy od kilku lat. Alicja pomyślała, że nawet nieźle byłoby mieć teraz kogoś bliskiego obok siebie i choć miała wrażenie, że Dorota przysporzyłaby jej raczej dodatkowych zmartwień, to jednak rodzina, ktoś bliski... Teraz łączyć ich będzie jeszcze więcej. Samotność. Odpędziła od siebie te myśli, nie chciała się rozkleić przy ludziach.

Wreszcie goście zaczęli się zbierać. Czekwała na to. Nie dlatego, że ich nie lubiła czy nie doceniała, że przyszli, ale była naprawdę mocno zmęczona. Marzyła, żeby znaleźć już w domu i odpocząć. Grzesiek wychodził ostatni. Znów miał na twarzy jakieś dziwne zakłopotanie, którego wcześniej u niego nie dostrzegała. Tyle że wtedy żył Marek.

- Alu, pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć. Jeśli tylko będziesz czegoś potrzebować, jakiegokolwiek pomocy, dzwoń od razu - powiedział i pocałował ją w rękę. Zawsze to robił, choć byli już tak starymi znajomymi, że spokojnie mógł sobie darować te konwenanse.

- Będę pamiętać, dziękuję - odpowiedziała z lekkim uśmiechem.

- Dzwon w każdej sprawie - podkreślił, jakby chciał mieć pewność, że dobrze to zapamięta.

Alicja kiwnęła głową i już zamierzała zapewnić, że się odezwie, gdy sobie przypomni, o co chciała go zapytać.

- Grzesiu, zauważyłeś na pogrzebie taką ładną, elegancką kobietę w brązowym płaszczu?

Mężczyzna zrobił dziwną minę. Zmarszczył brwi, jakby usiłował sobie coś przypomnieć, ale wyglądało to dość fałszywie.

Alicja miała oko do takich rzeczy. Trzydzieści pięć lat pracy w szkole sprawia, że takie miny rozpoznaje się bezbłędnie.

- Stała trochę z tyłu, osobno. I płakała – podpowiedziała mu. Przybrała minę nauczycielki, która wie, że uczeń się nie przygotował, ale daje mu jeszcze szansę, by jakoś samodzielnie wybrnął z opresji.

- Nie kojarzę – odparł powoli. – Chyba nie zwróciłem uwagi.

Alicja była niemal pewna, że kłamał. Postanowiła, że później spróbuje go trochę przycisnąć. Zawsze umiała z nim rozmawiać. Podejrzewała, że miał do niej słabość od wielu lat, a ta sympatia wzrosła po jego rozwodzie, gdy ujęła go bardzo, stając w ich małżeńskim sporze po jego stronie. Nie wprost oczywiście, ale Marek bez wątpienia mu powiedział, że jej zdaniem to Bożena ponosiła winę za ich rozwód.

- Cóż, trudno – odparła i zabrzmiało to niezwykle zimno. Dokładnie tak, jak chciała. Na pewno zobaczą się niedługo, więc wróci do tematu.

- Wybacz Alu, naprawdę nie wiem, ale popytam, może to jakaś nasza klientka? – tłumaczył się.

Teraz była już całkiem pewna, że nie mówił prawdy. Klientka? Przyszła na pogrzeb i płacze? Bo Marek dachu nie zdążył położyć na jej domu? Wolne żarty.

Była potwornie zmęczona tym trudnym dniem. Z radością weszła więc do mieszkania, chociaż wiedziała, że jeszcze nie będzie mogła odpocząć, bo przecież chłopcy z rodzinami przyszli z nią. Wykorzystała trochę ich obecność i gdy Agnieszka zaproponowała, że zrobi kolację, a Oliwia dodała, że jej pomoże, Alicja chętnie się zgodziła. Niech sobie robią w jej kuchni, co chcą. Skoro chcą jeść – niech zajmą się przygotowaniem posiłku.

- Dziękuję, dziewczyny - powiedziała grzecznie i z rozkoszą rozsiadła się w swoim fotelu, stojącym przy oknie w dużym pokoju.

Po raz pierwszy tego dnia poczuła się dobrze. Maciek próbował zająć czymś Judytę, włączył jej więc telewizor i wybrał jakiś program z bajkami. Alicja nie skomentowała tego, choć uważała, że włączanie telewizji, żeby zająć dziecko, jest zwykłą głupotą. Dzisiaj było jej naprawdę wszystko jedno.

- Mamo, może pojedziesz z nami? - spytał Maciek. - Zaczynają się ferie, masz dwa tygodnie wolnego. Posiedzisz trochę u nas, oderwiesz się...

Alicja zmarszczyła brwi.

- Od czego się oderwę, synku? Że twój ojciec umarł? Jak mam się od tego oderwać? - W jej głosie, zamiast złości, którą poczuła, wybrzmiały smutek i rezygnacja. Dlaczego synowie traktowali ją, jakby wraz ze śmiercią Marka straciła zdolność myślenia i podejmowania decyzji?

Maciek westchnął, ale jak zwykle zachował spokój.

- Chodziło mi o to, żebyś nie była sama i mogła się zastanowić, co dalej - wytłumaczył nieskładnie.

- Mama nie jest sama - wtrącił się Wojtek. - Warszawa jest trochę bliżej niż Oslo. W każdej chwili może przyjechać do nas. Ja również mogę ją zawsze odwiedzić.

- Już to widzę. Musiałaby ci twoja Oliwka pozwolić. I oczywiście szefowie z tej twojej uznanej międzynarodowej firmy, w której jesteś tak niezbędny - stwierdził z przekąsem Maciek.

- Uspokójcie się obaj. - Alicja uderzyła ręką w drewniany podłokietnik fotela. - Nie jestem niepełnosprawna. Umysł też mam na swoim miejscu. Nie potrzebuję opiekunów.

- Nie to miałem na myśli, mamo. - Starszy syn nie dawał za wygraną. - I tak mieliście do nas przyjechać, więc po prostu nie zmienisz planów.

- Dlaczego tak ci tak na tym zależy? - Wojtek wyraźnie się denerwował.

- Bo zostanie tu całkiem sama, rozumiesz? Czy zamiast mózgu masz już twardy dysk?

- Przynajmniej łopatą nie dostałem w głowę.

Nagle czas jakby się cofnął. Synowie jak zwykle się kłócili, za chwilę wejdzie Marek, każe im się uspokoić i spyta Maćka, o co poszło. Ten przedstawi swoją wersję, a ojciec ją przyjmie, nie pytając o nic Wojtka, i powie, żeby się więcej nie kłócili. Wtedy do akcji wkroczy ona - głównie dlatego, by młodszy syn nie poczuł się skrzywdzony. Odruchowo zerknęła w stronę drzwi, jakby spodziewała się, że za chwilę stanie tam jej mąż.

Maciek był dumą swojego ojca. Skończył budownictwo i prowadził nieźle prosperującą firmę. Szkoda tylko, że w Norwegii. Marek nie mógł przeboleć, że drugi syn nie poszedł w jego ślady. Wojtek był informatykiem, robił karierę i pieniądze w wielkiej korporacji. Szkoda tylko, że w Warszawie. Alicja żałowała, że żaden z synów nie odziedziczył jej humanistycznych zainteresowań i obaj wyrosli na momentami topornych, pozbawionych empatii technokratów. No ale Marek nieźle o to zadbał. Nauczycielka historii nigdy nie była dla nich zawodowym wzorem, jej zarobki tym bardziej. Czasem miała wrażenie, że tę bitwę przegrała. Tyle że chłopcy stali się dorosłymi mężczyznami, a ich ojciec leżał na cmentarzu. Kazała im więc stanowczo skończyć głupie kłótnie jak z piaskownicy i rozłożyć stół do kolacji. Posłuchali bez szemrania i chwilę później jedli już posiłek, rozmawiając o obojętnych sprawach.

- Mamo, musimy jeszcze pozałatwiać różne formalności - zaczął Maciek, gdy kończyli kolację.

- To ja położę Judytę - odezwała się milcząca dotąd przeważnie Agnieszka, ciągnąc małą do łazienki.

- Jakie formalności? - Alicja spojrzała na Maćka pytająco.

- No, wiesz, spadek i tak dalej...

- Spadek? Maciuś, dziś pochowałeś ojca i myślisz o spadku? - Nie wiedziała, czy jest bardziej zdziwiona czy zła.

- No wiesz, rozjedziemy się wszyscy...

- Ty się chyba rozjedziesz, bo ja nigdzie się nie wybieram - stwierdził Wojtek triumfalnie.

- Naprawdę nie możesz się choć dziś powstrzymać? - Maciek aż się skrzywił.

Alicja udała, że nie słyszy tej wymiany zdań między nimi. Miała już tego dość.

- Nic was nie ominie. I nic, co wasze, nie przypadnie - powiedziała cicho. - Dzisiaj ani jutro nie będziemy o tym rozmawiać. Ja również idę spać - dodała autorytatywnie i zaczęła sprzątać ze stołu.

- Niech pani zostawi, ja posprzątam - zerwała się Oliwia. Mówiła do niej per „pani”, bo choć mieszkała z Wojtkiem od dwóch lat, to wciąż nie myśleli o ślubie i obie nie bardzo wiedziały, jak Oliwka powinna się do niej zwracać.

- Dziękuję ci, posprzątam. Przynajmniej nie będę musiała tego słuchać - powiedziała ostro Alicja.

Nawet nie zerknęła na synów, którzy popatrzyli na siebie niezbyt przyjaźnie.

To chyba nie jest zbyt normalne, że matka z ulgą wita wyjazd swoich dość długo niewidzianych synów - myślała, gdy Wojtek z Oliwią wsiadali do samochodu. Chwilę wcześniej wyjechał Maciek z Agnieszką i Judytką.

Starła się przed sobą wytłumaczyć, że potrzeba jej trochę spokoju, żeby wszystko od nowa poukładać, przeanalizować i się

zastanowić. Tylko jak miałyby to zrobić? Przecież, żeby myślała nie wiadomo co, niczego nie zmieni. Marek nie żył. Na zawsze. Żadne rozważania by tego nie cofnęły.

Były ferie, więc nie musiała się nigdzie śpieszyć, nie miała żadnych obowiązków. Kiedy piła poranną kawę, uświadomiła sobie, że od teraz nikt nie będzie niczego od niej wymagał. Że nie musiała już prasować mu koszul, przygotowywać na obiad tego, co lubił. Że nie musiała nawet w ogóle gotować.

Wtedy się rozpląkała. Łzy leciały jedna za drugą i nie mogła się uspokoić, jakby cały nagromadzony i niewylany na pogrzebie zapas musiał się wydobyć na zewnątrz. Wiedziała, że to szlochanie jest bez sensu, że płacz niczego nie zmieni, ale nie mogła przestać. Przypomniała sobie, jak obejmował ją wpeł i dawał przeciągłe buziaki za wyprane i uprasowane koszule. Uwielbiał je nosić i miał ich dużo. Mimo że był inspektorem nadzoru budowlanego i krążył bez przerwy między budowlami, pod kurtką czy bluzą zawsze miał koszulę. Jakby chciał podkreślić, że nie jest robotnikiem, tylko kimś lepszym. Inżynierem. Szefem. Bossem. Mógł taką budowę zatrzymać jedną decyzją. Miał władzę i uwielbiał z niej korzystać.

Pewnie użalałaby się tak nad sobą jeszcze dłużej, gdyby nie krótki dzwonek do drzwi. Zamarła. Nie miała ochoty otwierać, ale siła przyzwyczajenia wygrała. Alicja szybko wytarła oczy i podniosła się z fotela.

Za drzwiami stał listonosz.

– Dzień dobry. Mam list dla pana Olszewskiego.

Machinalnie wyciągnęła rękę.

– Odbiorę. Jestem żoną.

Listonosz przyjrzał się jej uważnie, ale po krótkim wahaniu podał jej listę do podpisu.

– Czytelnie poproszę, z dopiskiem „żona”.

Zrobiła, co kazał, i wzięła do ręki kopertę. Gdy zamykała drzwi,

uświadomiła sobie, że przecież Marek nie żyje. Stała w przedpokoju z kopertą w ręce, niezdolna się ruszyć.

– Mój Boże, co teraz? Co mam z sobą zrobić? – powiedziała do siebie.

Odłożyła list na lodówkę. Też machinalnie. Nigdy nie otwierali osobistej korespondencji, nawet tej urzędowej, chyba że któreś o to poprosiło. Później sama się tym zajmie.

Pomyślała, że może zrobi jednak obiad, i zajrzała do lodówki. Była pełna jedzenia, które zostało z wczorajszego obiadu w restauracji. Alicja przypomniała sobie, że potrawy, których nie zjedli, restaurator skrupulatnie zapakował i wręczył Agnieszce, a ta pochowała wszystko do lodówki. Trochę poszło wczoraj wieczorem, ale zostało jeszcze mnóstwo.

Jak mogłam nie wpaść na to, żeby zapakować to Wojtusowi? Maciek nie zabrałby tego do Norwegii, ale Wojtek chętnie by skorzystał, choćby z lenistwa. Może rzeczywiście powinna odwiedzić Maćka w tym Oslo, pobyc trochę z nimi, pozbierać się?

Za obiad też mi już nigdy nie podziękuję.

Nie będzie się teatralnie oblizywać na widok schabowego i bigosu, jego ulubionych potraw. Nie skrzywi się, że podaje mu mielone, których nie lubił i które czasem robiła, gdy się pokłócili i chciała zrobić mu przykrość. Sobie też, bo również za nimi nie przepadała. Znów się rozpłakała.

– Co mam z sobą zrobić? – powiedziała głośno, gdy się trochę uspokoila.

Stanęła przy bufecie i wyjrzała przed okno. Mieli ładny widok. Na osiedlach z wielkiej płyty rzadko kto mógł podziwiać widoki. Zielony skwerek, kawałek dalej plac zabaw. Fakt, bywało głośno, ale w kuchni jej to nie przeszkadzało, a kiedy szli spać, to dzieci już dawno leżały w łózkach.

Była zima i wszystko zasypał piękny śnieg, który trzymał się

jak na złość. Dzieci też nie urzędowały w piaskownicy. Gdzieś gdzieś ktoś przeszedł z zakupami, inny szedł do pracy. Ludzie zajęci byli swoimi bardziej i mniej ważnymi sprawami. A ona nadal nie ma pojęcia, jak zapełnić dzień.

Gdyby Marek żył, pewnie by się pakowała albo byliby już w drodze. Planowali wyjechać na jedną z wycieczek, które tak lubili i na które czekała. Wybierali kierunek, wsiadali w samochód i jechali na dzień, dwa albo trzy. Na ogół wyjeżdżali, gdy było ciepło, ale zima o tyle ich kusiała, że Marek miał mniej pracy, więc łatwiej mógł się wyrwać, gdy Alicja zaczynała ferie. Zaplanowali sobie szlak zamków krzyżackich, skończyć mieli nad morzem, a później jeszcze odwiedzić Maćka. Lubiła morze zimą, Marek nie, ale jakoś zdołała go namówić, żeby zarezerwowali czas na spacer po plaży. Uwielbiali zwiedzać, choć każde z nich robiło to inaczej. On patrzył na zabytki jak na budowle. Potrafił mówić o tym długo i musiała przyznać, że całkiem ciekawie. Słuchała tego i nawet często wykorzystywała to na lekcjach. Ona zaś opowiadała mu o historii tych miejsc, ale to interesowało go mniej. Nie miał zapewne co z taką wiedzą zrobić, więc nie widział potrzeby, żeby ją przechowywać. Marek był człowiekiem bardzo praktycznym.

Prawdziwe zwiedzanie zostawiali sobie na emeryturę. Wtedy chcieli objechać całą Polskę. Czasem wpadali do domu, owszem, żeby odpocząć, pozałatwiać konieczne sprawy. Marek myślał nawet o kupnie jakiegoś kampera. Spodziewał się solidnej emerytury, bo zarabiał dobrze, a w przeszłości pracował też na zagranicznych kontraktach. Alicja oczywiście nie miała co liczyć na prawdziwe pieniądze po trzydziestu pięciu latach pracy w szkole.

Zrobiło jej się bardzo żal tej zaplanowanej przyszłości, która nigdy się nie spełni. Wiedziała, że sama nigdzie nie pojedzie. Co to za przyjemność samotnie włóczyć się po Polsce? Przecież zwiedzanie to tylko połowa przyjemności, drugą było przebywanie z bliską

osobą, cieszenie się sobą. Znow zbierało jej się na płacz. Mieli tyle planów... Od kiedy synowie się wyprowadzili, oboje byli wolni. Żadnych dodatkowych obowiązków, tylko praca i oni. Nawet seks zaczął znowu smakować. Mogli wszystko. Byli zdrowi, nie byli jeszcze starzy, byli mądrzy, mieli wystarczająco dużo pieniędzy na dobre życie. Alicja miała tylko dwa lata do emerytury, Markowi został rok. Nie musieli na nią przechodzić, ale chcieli i czekali na to. Oznaczała dla nich wolność. Cieszyli się znowu sobą i, o dziwo, było im ze sobą dobrze, choć jeszcze niedawno myślała, że uczucie między nimi zgasło zupełnie, że żyją właściwie obok siebie i tak już zostanie. Wystarczyło trochę wysiłku, by okazało się, że można znowu czuć się szczęśliwym. Nie tak, jak osiemnastolatki czy nowożeńcy, inaczej, ale przecież też wspaniale. Gdyby jeszcze chciał pracować trochę mniej... Zdarzały mu się bardzo późne powroty, często też wyjeżdżał, ale gdy wracał, nadrabiali, a taka krótkka rozłaka może nawet dobrze robiła ich małżeństwu. Alicja uświadomiła sobie, że to wszystko już przeszłość. Znowu coraz bardziej zbierało jej się na płacz.

Nagle te rozważania przerwał dzwonek telefonu. Aż podskoczyła. Nie lubiła głośnych i ostrych sygnałów, więc miała łagodną melodyjkę, ale w ciszy, jaka panowała, dźwięk i tak rozszedł się po całym domu. Spojrzała na wyświetlacz.

– Cześć, Maciuś.

Synowie denerwowali się czasem, że wciąż zwracała się do nich „Maciuś” i „Wojtuś”. Przy ludziach starała się powstrzymać, ale przecież teraz nikt nie słyszał.

– Cześć, mamó – odpowiedział. – Co porabiasz?

– Nic, staram się czymś zająć, ale średnio mi idzie – wyznała szczerze i trochę pożałowała. Po co robić z siebie ofiarę i co jej przyjdzie z tego, że syn będzie się martwił zza Bałtyku?

– Mówiłem, żebyś przyjechała z nami. Z Judytką spędziłabyś trochę czasu i pozwiedzała.

Wydawało jej się, czy mówił do niej jak do dziecka?

– Z Judytką to może, ale ze zwiedzaniem to chyba przesadziłeś. Zrobiłbyś sobie wolne? Czy może Aga?

Agnieszka była pielęgniarką i bardzo sobie chwaliła tę pracę. W Norwegii oczywiście, bo w Polsce niezbyt jej się podobała.

– No ale zawsze można pospacerować po mieście. Po angielsku się dogadasz...

– Wiem przecież, byłam – rzuciła zniecierpliwiona. – Dzwonisz z czymś konkretnym? – spytała. Jak to możliwe, że własny syn, który z dobrego serca zadzwonił do matki spytać, jak sobie radzi, ją denerwował?

– Chciałem spytać, co u ciebie po prostu – powiedział dość ostrożnie Maciek.

– W porządku, synku, obiad robię – odrzekła łagodnie. Postanowiła, że nie będzie martwić swoich dzieci.

– Aha, to smacznego, mamó. Zadzwonię jutro, dobrze?

– Pewnie, dzwoń, Maciuś, kiedy tylko chcesz.

Westchnęła i poszła do kuchni.

Może obiorę ziemniaki do tego mięsa? – pomyślała, zaglądając ponownie do lodówki i przyglądając się kotletom, które Aga albo Oliwka pracownicy poprzykrywały foliami do żywności.

Za dużo tego. Dlaczego nie dałam trochę Wojtkowi?

Ledwie skończyła wkładać jedzenie do zamrażalnika, gdy znów zadzwonił telefon.

Zmówili się czy jak?

– Cześć, Wojtuś.

– Cześć mamó, jak się masz? – W tle dało się usłyszeć jakieś ciche rozmowy. Na pewno był w pracy.

– Jak się mogę czuć, Wojtuś... Obiad robię – zreflektowała się szybko. Obiecała sobie przecież nie martwić swoich dzieci.

– Dobrze się czujesz? Bo jakoś tak brzmisz...

Wojtek nie był zbyt dobry w takich rozmowach. Konkretny, dokładny – owszem – ale konwersacja nie była jego mocną stroną. Reagował bardzo emocjonalnie i bardzo się wszystkim przejmował, ale nie umiał o tym mówić. Z komputerami porozumiewał się dobrze, z ludźmi różnie bywało. Jak się dogadywał z Oliwką, redaktorką w wydawnictwie, wygadaną, trochę nawet ekstrawagancką, Alicja nie wiedziała, ale widać jakoś im się udawało.

– Jak mogę się dobrze czuć, synku? Tata nie żyje. Czyli mój mąż – powiedziała i natychmiast pożałowała. Przecież miała się pilnować i nie wygadywać głupot.

Stwierdzi, że matce odbiło już pierwszego dnia po pogrzebie.

– Mamo, może wezmę jutro wolne i przyjadę do ciebie? – Wojtek był chyba zaniepokojony. – Albo może zajrzysz do nas? Ferie masz, półtorej godziny pociągami i jesteś. Pochodzimy trochę, lubisz przecież Warszawę, pójdziemy na jakąś kolację...

– Może kiedyś, dziękuję, że się troszczysz, ale muszę trochę ogarnąć dom, wiesz, posprzątać i odpocząć. Wojtuś, mięso mi się przypała, zadzwonimy się jutro, okej? Pozdrów Oliwkę.

Rozłączyła się. No, to wszyscy zadowoleni. Oni, bo spełnili obowiązki, zadzwonili do biednej, samotnej matki, i mogli mieć spokojne sumienia. Ona, bo jakoś wybrnęła. Tylko że nadal nie wiedziała, co dalej. Poza tym obiadem, na który nie miała specjalnej ochoty.

Przecież nieraz zostawała sama, gdy Marek gdzieś wyjeżdżał albo szedł z Grześkiem na jakieś piwo, co czasem się zdarzało. Nie upijał się, więc nie przeszkadzało jej, że chciał spędzić czas z przyjaciелеm. Ona wtedy nie snuła się po domu, myśląc obsesyjnie, co dalej.

Więc dłączego teraz to robię, do cholery?

Bo on nie żyje. I nie wróci.

Tym razem się nie rozpłakała. Tym razem poczuła paniczny strach.

Tego dnia zadzwoniła jeszcze Dorota i obaj bracia Marka.

Rozmawiała też z Ewą, dyrektorką szkoły i koleżanką, z którą znały się długie lata. Wszyscy chcieli wiedzieć, jak sobie radzi. Powinna być im wdzięczna, bo przecież pytali z dobrego serca, żeby czuła, że pamiętają, że współczują. Tyle że pod koniec dnia nie miała już sił i najchętniej wyłączyłaby telefon. Jeśli zadzwoni ktoś jeszcze – nie wytrzyma. Szkoda tylko, że żaden z rozmówców nie powiedział jej, jak ma teraz żyć.

Dzień płynął za dniem. Taki sam, podobnie beznadziejny, jak poprzedni. Wstawiała, piła kawę, włączała telewizor i snuła się po domu. Wytarła kurze z każdego miejsca, poukładała rzeczy we wszystkich szafkach i szufladach, jakie były w mieszkaniu. Wszystkich z wyjątkiem tych, w których były rzeczy Marka.

Próbowała czytać, ale marnie jej szło. Pomyślała, żeby wychodzić na zakupy po jedną rzecz, wracać, by później pójść po kolejną i tym sposobem zabić czas, którego miała w nadmiarze, ale za każdym razem musiałaby się ubrać w te zimowe buty, kurtki i szaliki. Nie chciało jej się. Maciek i Wojtek dzwonili codziennie i niezmiennie odpowiadała im to samo: że wszystko w porządku, właśnie czyta, sprząta albo idzie na zakupy. Starala się trzymać fason.

W sobotę wreszcie stopniał ten piękny śnieg i padał rześisty deszcz. Bardzo źle spała tej nocy, a właściwie długo nie mogła zasnąć i męczyła się przez kilka godzin, usiłując się przekonać, że musi zapaść w sen. Udało jej się dopiero nad ranem. Gdy usłyszała dzwonek, nawet nie chciało jej się wstać. Uznała, że to jakieś reklamy, bo kto miałby przyjść w sobotę? Po drugim sygnale westchnęła ciężko i wstała z fotela.

- Halo – powiedziała do domofonu.

- To ja, mamuś – usłyszała w słuchawce.

„Mamuś” mówił do niej tylko Wojtek, od lat wyłącznie wtedy, gdy byli sami.

– Co się stało? – spytała głupio, a później nacisnęła guzik otwierający drzwi, gdy zdała sobie sprawę ze swojego zachowania. Chwilę później Wojtek trzymał ją w objęciach. Przy bracie ani tym bardziej przy Oliwii nie zachowałyby się w taki sposób. Rozumiała to. Był w końcu dorosłym mężczyzną i trudno, żeby pokazywał dziewczynie, że tuli się z mamusią, chociaż przecież nie było w tym niczego niewłaściwego.

– Jak się masz, mamuś? – spytał.

– Jakoś żyję – odrzekła beznamiętnie.

W ostatnich dniach tyle razy odpowiadała na podobne pytania, że robiła to już automatycznie, choć naprawdę miała ich dość. Potrzebowała dobrej rozmowy z kimś bliskim, komu mogłaby wyjawić, co czuła, chociaż nie była pewna, czy sama to wiedziała. Tyle że nie miała nikogo takiego. Jej jedyna przyjaciółka wiele lat temu przeprowadziła się pod Wrocław. Przyjaźnie na odległość raczej się nie udawały.

– Wejź, Wojtuś – dodała po chwili. – Stało się coś?

– Musiało się coś stać, żebym odwiedził staruszkę?

Wojtek mówił tak często. Dotąd używał jednak zwrotu „staruszkowie”. Groziła mu zawsze palcem i mówiła ze śmiechem: „tylko nie staruszków, bo cię wydziedziczymy”. Tym razem nie zareagowała.

– Zjesz coś? – spytała obojętnie.

– Nie, dziękuję. Jadłem śniadanie – odpowiedział poważnie.

Mimo to Alicja skierowała się do kuchni i wzięła do ręki czajnik.

– Zrobić ci herbaty czy kawy?

– Może kawy bym się napił?

– Co takiego się stało, że wybrałeś się do Łodzi z tej wielkiej Warszawy? – Próbowwała zabrzmieć lekko, nawet zabawnie, widziała

przecież jego zatroskany wyraz twarzy. Nie chciała, żeby martwił się o stan psychiczny matki.

– Chciałem sprawdzić, jak u ciebie, mamusiu. Spędzić trochę czasu.

Alicja przyjrzała mu się uważnie. Dotąd nie wykazywał chęci, żeby spędzać czas z matką. Z Oliwią owszem, ale z matką?

Ale do tej pory żył Marek...

Może Wojtek też potrzebował odpoczynku od znajomych, którzy pytali, jak sobie radzi? Przecież umarł mu ojciec, miał prawo czuć się smutny i zagubiony. Może przed Oliwią i kolegami z pracy starał się trzymać fason? Wojtek był wrażliwym, nieco skrytym chłopcem. Synus mamusi – tak zawsze mówił Marek i było w tym chyba sporo prawdy.

Mimo to rozmawiali o mało istotnych sprawach. Omijali ten najważniejszy temat, ten problem, który od tygodnia usiłowała rozwiązać: jak teraz żyć i czym wypełnić czas. Poszli na obiad, pomógł jej z zakupami i zrobiła zapas wody, soków i innych cięższych rzeczy chyba na pół roku, jakby nie potrafiła podjechać samochodem pod sklep. Wojtek się uparł, że jej pomoże i uległa głównie dlatego, żeby nie robić mu przykrości. Poszli jeszcze na cmentarz. Nie była tam od pogrzebu, gdyż nie czuła specjalnej potrzeby stania przy tym zimnym grobie, przecież leżało w nim tylko ciało jej męża. Dusza była w niebie, czyśćcu, piekle albo nigdzie, ale na pewno nie tam.

Wojtek pojechał wieczorem, zapewniwszy, że kocha, pamięta i że zadzwoni. Miło jej było, że ją odwiedził, że okazał jej w ten sposób swoją miłość, ale gdy kładła się spać, nie była ani krok bliższa od odpowiedzi na pytanie, jak ma dalek żyć.

Ferie zawsze wydawały się za krótkie, brakowało jej czasu, zawsze była zajęta tym, żeby nadrobić wszystkie zaległości. No i żeby miło spędzić ten czas z Markiem. On pracował mniej albo brał

wolne i robili, co im akurat przyszło do głowy.

Tym razem czekała na koniec ferii. Miała nadzieję, że powrót do szkoły dobrze jej zrobi, ale równocześnie trochę się jednak go bała. Zdawała sobie przecież sprawę, że znajduje się w stanie jakiegoś otepienia, że nie jest normalnie. Młodzi wyczuwają takie rzeczy. Albo będą dla niej zbyt mili, z litości, albo to wykorzystają. Tyle że przynajmniej czas będzie jej szybciej leciał.

„Buda”, jak od lat uczniowie mówili na szkołę, stała niewzruszona. Gdy Alicja weszła do swojej pracowni, od razu poczuła się lepiej, pewniej. Nie ubrała się na czarno, bo nie chciała epatować swoją żałobą, przecież i tak wszyscy wiedzieli, co się wydarzyło.

– Jak się trzymasz? – spytała Gośka, matematyczka, gdy usiadły przy kawie podczas okienka. Kobieta była po kolejnym nieudanym związku.

Alicja westchnęła. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, chociaż ćwiczyła to przez ostatnie dwa tygodnie.

– Zostałam tu właściwie sama... – zaczęła ostrożnie. Nie chciała się rozklejać, nie była nawet pewna, czy w ogóle chce o tym rozmawiać ze sporo młodszą koleżanką, która co chwilę obwieszczała, że spotkała tego jedyne, z którym ma zamiar spędzić resztę życia.

– Samotność jest straszna... – szepnęła Gośka. – A znaleźć porządnego faceta po czterdziestce to chyba cud, sama się przekonasz. – Machnęła ręką.

Alicja zupełnie nie wiedziała, jak zareagować. Powiedzieć, że nie myśli o żadnych facetach? Oburzyć się na takie sugestie, bo przecież właśnie straciła męża? Z kłopotu wybawił ją wuefista, który akurat wszedł do pokoju nauczycielskiego i powitał kobiety głośnym „dzień dobry”.

Lekcje udało jej się poprowadzić chyba jak zwykle, choć zauważyła, że klasa matematyczna – jak wiadomo, z reguły niezainteresowana historią i często to okazująca – była spokojniejsza niż

zwykle. Może to ta litość, której Alicja się spodziewała i której nie chciała?

Siedząc w pociągu „ełki”, jak wszyscy nazywali Łódzką Kolej Aglomeracyjną, stwierdziła, że pierwszy raz od pogrzebu nie myślała obsesyjnie, czym się zająć, a dzień minął niemal niepostrzeżenie. Tylko czy teraz będzie chodziło jej wyłącznie o to, żeby czas szybciej leciał?

cdn.